

Do Albanii wjechaliśmy od strony Macedonii, a dokładniej górską drogą wzdłuż północnego brzegu Jeziora Ochrydzkiego. Im dalej prowadziła nasza droga, tym coraz częściej zakręcała, prowadząc nas serpentynami przez górskie przełęcze, doliny i wzniesienia. Przed nami rozciągały się piękne, górskie krajobrazy. Pomyśleliśmy sobie, że choćby dla nich warto było tutaj odbić z naszej powrotnej drogi do Polski.

Gdy zjechaliśmy z gór poznaliśmy Albanie jako kraj bardzo przedsiębiorczych ludzi. Tylu stacji paliwowych nie widzieliśmy w żadnym z bałkańskich krajów. Podobno, gdy w okolicy ktoś założy jakiś biznes, na przykład stację benzynową, zaraz inni, sądząc że to złoty interes, zaczynają robić to samo. I tak to się kręci.

Albania to kraj głównie islamski, ale katolicyzm jest tu także popularny, w czym duża zasługa kultu jakim otaczana jest Matka Teresa, która się tu urodziła. W niektórych małych miejscowościach widać było tylko nowe kościoły katolickie. W innych same meczety. A jeszcze w innych świątynie kilku wyznań.

Nasze wszelkie stereotypowe wyobrażenia o tym kraju w ogóle wzięły w łeb. Podobno to jedno z najbiedniejszych państw Europy, ale my tej biedy nie widzieliśmy podczas naszej wyprawy. Wszędzie murowane, ładne domy, wiele nowych w budowie. Nie spotkaliśmy biedaków żebrzących, tak jak to miało miejsce w Rumunii, Bułgarii czy Macedonii. Całkiem dobrej jakości drogi, nawet te górskie oraz widoczna na każdym kroku przedsiębiorczość mieszkańców, dodatkowo podważały nasze błędne przekonania o zacofaniu tego kraju.

Europejskie ambicje Albańczyków mogą niektórych dziwić, zwłaszcza tych, którzy nigdy nie byli w tym państwie. Wystarczy jednak popatrzeć na determinację z jaką unowocześniają swoją stolicę, a i w głębi kraju widać wielki plac budowy. Na przykład na naszej mapie Europy z 2009, wydanej przez węgierską firmę kartograficzną, nie ma zaznaczonego kawałka nowo wybudowanej autostrady za Kukës do granicy z Kosowem, gdy tymczasem w innych krajach zaznaczane są nawet przebiegi dopiero planowanych autostrad, które mają powstać w najbliższych latach. Na mapie Serbii jest nawet już zaznaczone normalną kreską kilkadziesiąt kilometrów autostrady do Suboticy, która dopiero jest w budowie. A o nowych albańskich drogach mało kto słyszał. To chyba świadczy też o tym, jak mało wiemy o albańskiej rzeczywistości.

Kraj ten zwany przez miejscowych *Shqipëria*, nie miał łatwego życia w czasach komunistycznej dyktatury Envera Hodży, który pokłócił się z ZSRR, Jugosławią i pozostałymi członkami Układu Warszawskiego. Starał się co prawda utrzymać przymierze z Chinami, ale po śmierci Mao i ten sojusz wygasł. Albania odizolowała się od całego świata popadając w marazm spotęgowany dodatkowo propagandą strachu swojego ksenofobicznego przywódcy. W obawie ataków z zagranicy budowano

dziesiątki tysięcy schronów. Teraz to normalny element albańskiego krajobrazu, zwłaszcza w przygranicznych terenach oraz na wybrzeżu.

Obecnie Albania jest członkiem NATO i aspiruje do Unii Europejskiej. Sporo Albańczyków pracuje za granicą, głównie we Włoszech i Grecji. Kraj się rozwija wysiłkiem jego mieszkańców oraz dzięki kapitałom zagranicznym. Widać to zwłaszcza w stolicy państwa Tiranie, gdzie mieszka ok. 900 tys. osób z 3,2 mln wszystkich obywateli Albanii.

Tirana to centrum gospodarcze, polityczne i kulturalne. Dzisiaj to także jeden, wielki plac budowy. Podczas naszej wizyty całkowicie rozkopany był główny plac, na którym stoi pomnik Skanderbega. Mimo tego, centrum sprawia wrażenie ciekawie przestrzennie zagospodarowanego obszaru miejskiego, nie ustępującego innym średniej wielkości europejskim miastom. Dodatkowego kolorytu nadaje feria barw, widoczna na każdym kroku, począwszy od wielokolorowych ławek w parku, do pastelowej kolorystyki bloków mieszkalnych. To zasługa mera stolicy, który wcześniej był artystą, a po objęciu urzędu postanowił zmienić wizerunek szarej Tirany na bardziej przyjazny i kolorowy. To na pewno był strzał w dziesiątkę, którego wiele smutnych, szaro-burych miast może pozazdrościć.

Bardzo przyjemnie wyglądają też klomby kwiatów, zadbane trawniki, rozłożyste palmy przy deptakach czy też olbrzymie, kwitnące kępy oleandrów. Jedynie brak pasów na jezdniach powoduje niepotrzebny chaos i nerwowość kierowców używających klaksonów do woli. Większość z nich nota bene jeździ mercedesami, który są tutaj ulubioną marką. Takie jest centrum, które poznaliśmy. Nie mieliśmy czasu szwendać się po bocznych uliczkach, w których rzeczywistość pewnie wygląda inaczej. Ale tak chyba jest na całym świecie, nawet tym bardziej rozwiniętym niż ten, który tutaj opisuję.

Po wizycie w stolicy udaliśmy się na wybrzeże, do pobliskiego Durres. Właściwie tylko patrzeć, a będzie to dzielnica Tirany, z którą jeszcze formalnie sąsiaduje. Jednak tempo rozbudowy stolicy każe domniemywać, że to miasto zostanie niedługo wchłonięte do stołecznej metropolii. Durres to główny port Albanii, ale także letnie kąpielisko. W naszej bałkańskiej wyprawie nie mogliśmy się oprzeć pokusie dotarcia znad Morza Czarnego do Adriatyku.

Niestety po górskich wożach przez kręte drogi Albanii, marzenie o kąpieli w ciepłych, czystych wodach Morza Adriatyckiego, jakie znaleźliśmy chociażby z Chorwacji, okazało się nierealne. Dotarliśmy, co prawda, na przepiękną plażę, przypominającą prawdziwie europejski kurort, ale niestety woda była tak zmacona, że kompletnie nie nadawała się do zanurzenia w niej nawet stóp. Nie wiemy czy to wina natłoku turystów, czy pobliskiego portu. W każdym bądź razie zniechęciło nas to nie tylko do kąpieli, ale także do dłuższego pobytu w mieście i

poznania jego innych atrakcji. Ruszyliśmy zatem w dalszą drogę, żegnając się z morzem, którego już więcej nie było nam dane zobaczyć podczas tej wyprawy.

Kierowaliśmy się w stronę Jeziora Szkoderskiego, na północ wzdłuż morskiego wybrzeża. Droga była jednak zatłoczona i poruszaliśmy się z prędkością co najwyżej 50 km na godzinę. Zdaliśmy sobie sprawę, że nasz plan dotarcia tego dnia do Kosowa spali na panewce. Czekał nas nocleg w Szkodrze, który znaleźliśmy u niejakiego Gjona [Džona]. Naszego gospodarza wszyscy znali i on wszystkich znał. Sławny jegomość prowadził znaną, ponoć nie tylko w okolicy, knajpę i motel Traditia. Swoich gości przyjmował osobiście w stroju regionalnym, a jego lokal urządzony był w iście staroalbańskim stylu. Musimy przyznać, że i lokalne specjały przypadły nam do gustu, takie jak pieczone na ogniu ziemniaki i grillowane mięsa. Ceny jada i noclegu nie należały tam do najtańszych, ale czasem warto sobie na coś takiego pozwolić. Płaci się raz, a pamięta bardzo długo.

Wydawało nam się, że całe miasteczko to jedynie twierdza na wzgórzu, którą mijaliśmy po drodze i domy wzdłuż przelotowej ulicy, w tym także lokal Gjona. Jednak podczas wieczornego spaceru odkryliśmy, że samo centrum z przyjemnym deptakiem przebiega równoległe do głównej drogi. Tu kwitnie wieczorne życie jak we włoskich miejscowościach wypoczynkowych. Dzieci bawią się po zmroku w podświetlonych fontannach, starsi kosztują drinki i oddają się pogawędkom w licznych kafejkach. Całkiem przyjemna atmosfera. Skosztowaliśmy tam między innymi przesmaczego, soczystego ciasta serowego, na które wybraliśmy się także rankiem. Przy okazji, po węchu, dotarliśmy do piekarni, gdzie zaopatrzyliśmy się w zapas pulchnego, kukurydzianego pieczywa, a parę kroków dalej kupiliśmy świeże owoce na straganach.

Zastanawialiśmy się skąd się biorą tutaj te tłumy, bo do jeziora jest kilkanaście kilometrów. Jednak jak widać ten dystans to żadna przeszkoda, a plaża nad jeziorem jest podobno jedną z ładniejszych w całej Albanii. Niestety nie było nam dane tego sprawdzić, bo przed nami był kolejny górski odcinek w drodze do Kosowa, które nas przyciągało swoim magnetyzmem jako najmłodsze i nie przez wszystkich uznawane państwo w Europie.

Trasa ze Szkodry do Prisztiny zajęła nam więcej niż zakładaliśmy, bo to co widać na mapie, a jest w rzeczywistości nie pierwszy raz okazało się diametralnie różne. Drogi w górach wiły się niczym serpentyny, tak że nam się po jakimś czasie kręciło w głowach. Raz po raz zakręty o 360 stopni mobilizowały maksymalnie nie tylko moje możliwości koncentracji, ale także mięśnie przedramion, mimo funkcjonowania wspomaganego kierownicy w Hondzie CRV, którą miałem tam przyjemność kierować. Kilka godzin takiej jazdy to lepsza frajda niż jakikolwiek lunapark z rollercoasterem.

Gjon polecał nam, co prawda, pokonanie tej trasy promem po Jeziorze Drin, w spokoju podziwiając piękne widoki, ale nie skorzystaliśmy z tego rozwiązania, bo start miał być o 7.30, kiedy to jeszcze zamierzaliśmy dosypiać trudy podróży. Poza tym szkoda nam było czasu, gdyż szczerze wierzyliśmy, że własnym autem będzie dużo szybciej. Teraz śmiem w to wątpić, choć wrażenia z tej wysokogórskiej jazdy pozostaną nam na całe życie. Polecamy każdemu odważnemu, bo kręta droga prowadząca skrajem przepaści tylko gdzieniegdzie odgraniczona była rzadko posadowionymi białymi kamieniami. Za nimi widniała tylko „czarna pustka”, zwana przez innych górską doliną lub przełęczą.

Cała zabawa zaczynała się kiedy jechał samochód z przeciwną, na przykład rozpędzony rozklekotany Mercedes Van, czyli lokalny busik. Ich kierowcy znający tę drogę na pamięć, mogą jeździć nią z zamkniętymi oczami, a i pasażerowie chyba też do tego przywykli. Dla nas z najwyższą uwagą i zachowaniem maksymalnie możliwej ostrożności, było to i tak nie lada wyzwanie. Przy mijaniu najlepiej zwolnić do minimum, by mieć pewność, że przypadkowe zaczepienie choćby lusterka nie wytrąci nas z trajektorii jazdy prosto w przepaść. Z czasem można nabrać wprawy, a po paru godzinach jedzie się jak gdyby nigdy nic. Ot, takie tam zabawy dla dużych chłopców.

Co jakiś czas musiałem się zatrzymać na jakiejś szerszej części drogi, czy z rzadka zatoczce, by zrobić fotki niecodziennych krajobrazów i nabrać sił do dalszej, pokręconej jazdy. Raz zatrzymaliśmy się na dłużej, by przejść się linowym mostkiem kolebiącym się z każdym krokiem nad rzeczną doliną, nad którą był rozwieszony. Innym razem podziwialiśmy górskie przepustki rzeczne i mosty kolejowe na olbrzymich filarach.

Tak dojechaliśmy do Kukës, a za nim do znaku informującego, że za kilka kilometrów będzie autostrada. Niezmiernie nas to zdziwiło, bo wedle naszej wiedzy i mapy, w Albanii miało nie być żadnej porządnej drogi. Zanim jednak dotarliśmy na kilku kilometrowy pas nowiuteńkiej autostrady, musieliśmy jechać drogą w budowie o wahadłowym systemie jazdy. Cóż, to zwykłe uroki remontów i budów, jak u nas, nie dziwota. Tylko ukrop z nieba niemiłosierny, a i czasu szkoda. Ale kawałek autostrady, której nie ma na mapie, jak marzenie, a i kolejne odcinki w budowie. Ciekawe tylko dlaczego akurat zaczęli takie inwestycje na trasie w kierunku Kosowa? Wkrótce mieliśmy choć częściowo zdobyć więcej wiedzy na ten temat poznając kraj Kosowarów.